



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

OLBRZYMIA DZIEWANNA.



Olbrzymia dziewanna.

W pewnym ogrodzie we Francyi wyrosła w ustronnym zakątku pod murem dziewanna tak niezwyklej rozmiarów, że dzienniki podały o niej wiadomość z rysunkiem, zamieszczonym dziś także w naszym Piśmie. Ażeby ogrom rośliny należycie można było ocenić, przedstawiono tuż obok postać ogrodnika, dorosłego mężczyzny, który jednak daleko jest od niej niższy.

Dziewanna, *verbascum thapsus*, jest prawie wyłącznie europejską rośliną, w Ameryce i Australii nie znaleziono jej wcale, pojawia się jednak gdzieniegdzie w umiarkowanych okolicach Azji i Afryki. U nas wyrasta dziko wszędzie, jak chwast najpospolitszy, a na żyznych niwach podolskich i ukraińskich dorasta czasem okazałej wielkości; spotykaliśmy tam nieraz na ugorach wspaniałe okazy, które mogłyby stanąć obok tej francuzkiej, na rysunku przedstawionej. Niektórzy botanicy zaliczają dziewannę do rodziny psiankowatych; zbliża się do nich w rzeczy samej postacią kwiatu o pięciu pręcikach, różnice jednak są także znaczne, częściej też roślina ta w terminologii naukowej zamieszczona bywa w osobnej rodzinie.

LEGENDA O ŚWIĘTOKRZYŻYKIM KOŚCIELE,

ofiarowana

WŁADZI Z JELENIOWA.

Na karym tam koniu
 Ktoś pędzi po błoniach,
 Po dzikim przemyka się lesie;
 Myśliwskich trąb granie,
 Psów gończych szczerkanie,
 Po rosie z oddali wiatr niesie.
 A jeździec wciąż pędzi
 Wśród stromych krawędzi
 Przepaści, wśród obcej krainy;
 Ze znanych zszedł torów,
 Wśród ciemnych mkną borów,
 Sam jeden, bez wiernej drużyny.
 Jak strzała koń leci,
 Z pod kopyt skry nieci,
 I z wichrem się puszcza w zawody.
 Spłoszone mkną drzewa,
 Wiatr grzywę rozwiewa,
 Koń sady przepaści i wody.
 Gdzie pędzisz, zuchwały?
 Wszak dawno przebrzmiały
 Twych druhów wołania i głosy.
 Nieznane obszary
 Tratuje twój kary,
 I obce nad tobą niebiosy!
 W rodzinne wróć strony,
 Choć leśne opony
 Nieznany ci czarem zwabiły;
 Rzuć dzikie bezdroże,
 Wszak ono cię może
 Do pewnej prowadzić mogiły.
 Lecz jeździec nie pyta,
 Skry sypią kopyta,
 Jak wicher ugania po lesie;
 Nabiegły krwią oczy,
 On z borem bój toczy
 Wciąż naprzód tam w lasy koń rwie się.
 To książę węgierski,
 Emeryk rycerski
 Myśliwskim się harcom oddaje;
 Drużynę porzucił,
 Za kozłem się rzucił,
 Co przed nim mknął ledwie o staję.
 Mijają godziny,
 Przez góry, doliny,
 Za chylonym jeleniem on goni.
 Lecz cuda czy czary?
 Daremnie mkną kary,
 Wciąż zwierzę w gąszcz leśny się chroni.
 Choć słońce już zgasło,
 Za szczyty gór zaszło,
 Choć nocne opadły go ciemnie;
 On konia wciąż wspina,
 Żądnymi oczyma,
 Jelenia szukając daremnie.
 Lecz nagle! drgnął junak,
 Wszak zachwiał się rumak,
 Przystanął, pot krwawy się leje,
 Wilgotna łśni grzywa,
 Bieg oddech rozrywa,
 Ostatnim wysiłkiem koń ziele.
 Wiatr zimnem przejmując,
 Wśród lasu harcując,
 I świszczy szyderczy, złowrogi.
 A jeleni gdzieś w dali
 Po wichru mkną fali,
 Wśród leśnej jeźdźcowi znikł drogi.
 Emeryk wznosił czoło,

Spogląda w około;
 Bór stopą nietknięty i dziki,
 I tylko czasami,
 Gdzieś między lasami
 Zahuczą ponuro puszczyki.
 „Gdzież jestem?” zawoła,
 I wzrokiem sokoła
 Chce przebiec gestwinę, cień nocy.
 Naprawdę! Noc ciemna,
 Głęb puszcz bezdenne,
 I niema ząd wezwać pomocy!
 Samotny, zbłąkany,
 Stał książę stroskany,
 A pod nim koń dyszał pół żywy;
 Czyż z dala od braci
 Tu życie utraci,
 Tu koniec go czeka straszliwy?
 O! wołałby przecie,
 Gdzieś walcząc po świecie,
 Wśród boju dać życie, to miłe;
 Niż tutaj samotnie
 Umierać sromotnie,
 Bez walki ledz w czarną mogiłę.
 Pod zbroją rycerza
 Raz pierwszy uderza
 Nieznany mu tętnem ból, trwoga;
 Więc w niebo wznosił oczy,
 Tam żebrząc pomocy,
 I westchnął serdecznie do Boga.
 Wtem nagle — o cuda!
 Czy czary, czy złuda?
 Noc znikła, zajaśniał las cały,
 Na ciemnych gór stokach,
 W świetlanym obłoku
 Stał anioł przejrzysty i biały,
 I rzecze: „Rycerzu,
 Drży pierś twą w pancerzu,
 I błądź ci lica pokryła;
 Żał stracić wiek młody,
 Żał szczęścia, swobody,
 Przeraza wśród borów mogiła.
 Lecz żeś się w potrzebie
 Do Boga na niebie
 Tak modlił z ufnością i szczerze,
 Bóg życiem cię darzy,
 Lecz żąda, byś Jemu
 Najdroższy skarb oddał w ofierze”.
 Padł rycerz ku ziemi
 I dłońmi drżącemi
 Zdjął z piersi relikwiarz bogaty;
 W nim Krzyża miał szczątki
 I święte pamiątki,
 Z Golgoty zabrane przed laty,
 I szepnął: „O, Panie!
 Niech wiecznie zostanie
 Krzyż święty wśród leśnych bezdroży,
 Niech świadczy, że wszędzie
 Wspomagać Bóg będzie
 Każdego, kto ufność w Nim złoży!”

Gabryela Jasieńska.

Odgłosy kolonij letnich.

LIST DO KOLEŻANKI.

Widzisz, Marylko droga, że jestem słowna. Od dni dziesięciu zaledwie bawię tu na wsi, a już zabieram się do pisanja; materyału mi nie zabraknie, pewnie na jednej ćwiartce papieru się nie skończy, choćby i dwie marki przy-

szło na kopercie przylepić. Pamiętasz, gdyśmy się rozstawały w Warszawie po ukończeniu popisu, zazdrościłam ci trochę, że jedziesz do Ciechocinka, gdzie zapewne nowe jakieś porobisz znajomości, różnych zabaw i rozrywek używać będziesz. Pobyt na wsi u cioci i wujaszka nie bardzo mi się uśmiechał, obawiałam się nawet nudów, szczerze wyznaję, bo wiedziałam, że to dom cichy, dzieci niema, wujaszek zajęty gospodarstwem rolnem, a ciocia domowem, gości rzadko przyjmują i sami też nie wyjeżdżają często. I ty także, Maryleczko moja, litowałaś się nademną, tak żałośnie powtarzałaś przy pożegnaniu: „Biedna Wańdziu, jak ty tam wytrwasz przez całe lato z kurkami tylko i z krówkami...”

Już nie wiem, jak ty tam się bawisz w Ciechocinku, ale ja ci nie zazdroszczę, to pewna. Kochana ciotuchna powitała mnie podobnemi słowami: „Byłeś tylko nie znudziła się tu z nami, moje dziecko, boś ty do miejskiego życia przywykła, a na wsi, bez towarzystwa, bez rozrywek, smutno ci może będzie”. Dla mnie życie wiejskie zupełną było nowością, dzieckiem jeszcze spędzałam parę razy lato u cioci, później corok wyjeżdżałam z rodzicami do miejsc kąpielowych; teraz tak jakoś się złożyło, że ojciec nie może wyjechać z Warszawy, mama nie chciała go zostawić samego, mnie jednak wysłali na wieś, na świeże powietrze.

Może też właśnie dlatego, że mam się tych nudów tak obawiała, i przyjemności nie wyglądała wcale, wszystko mi się z jaknajlepszej strony przedstawiło. Słusznie bardzo wujaszek powiada, że ten tylko się nudzi, kto próżnuje; a ja, jak ci wiadomo, nie mam ochoty do próżniactwa; chociaż ukończyłam pensyą, nie myślę siedzieć z założonemi rękami, mam już upatrzone zajęcie, gdy do domu powrócę. Ale to do rzeczy nie należy, teraz przecież przyrzekłam ci opowiedzieć, jak spędzam lato na wsi.

Przypominasz sobie, jakieśmy to na pensyi, za namową dobrej pani przełożonej, składały nasze oszczędności, urządziły różne loteryjki i wszelkimi sposobami zbierały pieniądze na kolonie letnie. Ach, moja droga! Jakże się cieszę, że mam oddać na to wszystko, co posiadałam, trudno naprawdę o cel piękniejszy dla ośar. Cóż to za dobrodziejstwo dla tych biednych dzieci, trzeba to widzieć na własne oczy, ażeby należycie zrozumieć.

Niektórzy obywatele wiejscy przyczynili się bardzo skutecznie do szlachetnego dzieła, przyjęli bowiem do siebie całe gromadki dziatwy, dając jej utrzymanie i pozwalając korzystać ze wszystkich wiejskich rozkoszy. Otóż jednym z tych dobroczyńców kolonij letnich jest właśnie kochany mój wujaszek, nazajutrz po mojem tu przybyciu przywieziono z kolei na trzech wozach drabiniastych piętnastu malców rozmaitego wieku. Wyszłyśmy obie z ciocią na ich spotkanie. Jak też to wszystko wyglądało, mój Boże! Blade, wynędzniałe, mizerne, najzdrowsi i najsilniejsi, w porównaniu do rumianych, ogorzałych dzieci wiejskich, sprawiali wrażenie cherlaków. A pomimo to oczy biednych chłopczków błyszczały radością, spoglądali ciągle dokoła z ciekawością taką, jakgdyby się dostali do jakiegóś zaczarowanej krainy.

Ciocia kazała im przygotować podwieczorek na odkrytem powietrzu, ustawiono pod dużą lipą parę ławek i stołków, długi stół, na nim miski z kwaśnem mlekiem, chleb z masłem, krajanki sera. Warto było widzieć, z jakim smakiem zjadali, jakgdyby to najpyszniejsza była uczta. A cóż dopiero, gdy ja przyniosła duży koszyk, pełen świeżo zerwanych wisien i zaczęła ich częstować. Owoce, to dla tych biednych dzieci przysmak bardzo rzadko widywany, a raczej rzadko kosztowany, bo widują piękne, smakowite owoce na straganach, ale to rzecz taka droga, że rodzice ich, co zaledwie na nędzną strawę wystarczyć mogą, na zbytki podobne grosza nie wydają.

Pomiędzy tymi chłopczykami było trzech starszych uczniów gimnazjum, od lat 14-tu do 16 mających. Wujaszek zabrał ich pod swoją komendę i powiedział, że będą doглядali robót gospodarskich. Tak się tem ucieszyli, jakgdyby ich kto zaprosił do najprzyjemniejszej w świecie zabawy. Jeden, któremu wujaszek kazał coś zapisywać, pobiegł do

swojego tłómczka, wyjął z niego parę kajetów i z uśmiechem zadowolenia pokazał wujaszкови swoje kaligrafie, upewniał, że potrafi dobrze i porządnie zapisać, co potrzeba. Zaraz też nazajutrz wujaszek spostrzegł, że to, co dla tych pocziwanych chłopaków jest najmilszą zabawą, dla niego będzie prawdziwą pomocą, bo z wielką gorliwością spełniają wszystkie jego polecenia. Ciocia ma także z innych chłopców nielada pomocników do różnych robót w ogrodzie. Z jaką to oni rozkoszą biegają na wyżsige podlewać kwiaty i warzywa; wybieranie ogórków do kwaszenia taką im rozkosz sprawiło, żeśmy się obie z ciocią od śmiechu powstrzymać nie mogły. „O! jaki duży, ogromny! To ci dopiero ogórek! A mój, patrzcie, jaki śliczny, krągłuski!” wołali jeden przed drugim, zachwycali się temi ogórkami, jakby czemś nadzwyczajnem, osobliwością jakąś.

Prosiłam cioci, aby mi powierzyła nadzór nad młodszymi chłopczykami, to też od rana zaraz biorę ich codziennie w swoją opiekę, najpierw pacierz odmawiam z nimi, potem pamiętam o ich śniadaniu i każdemu wyznaczam zajęcie w ogrodzie. Możesz być pewna, moja droga Marylko, że nie mam przy tem ani chwileczki czasu na nudy. Roboty ogrodnicze nietylko ich tak bawią, ja także ogromną w tem znajduję przyjemność. Wszystko, rozumie się, pod kierunkiem cioci się odbywa, ona doskonałą jest ogrodniczką, zna się na każdej rzeczy i ogród utrzymuje wzorowo. Wcale też piękne ma dochody z warzyw i owoców.

Teraz dopiero rozumiem, jak to można się przywiązać do życia wiejskiego i do tych gospodarskich zajęć. Czy może być większa przyjemność, jak własną pracą, troskliwością, zrobić coś prawie z niczego, wyhodować, wypielęgnować, czy to roślinne okazy wspaniałe, niewidzianej wielkości kapustę, kalafior, czy to znów jakieś piękne kury, indyki, kaczki. Przypominasz sobie zapewne tę pannę Eleonorę, starszą siostrę koleżanki naszej Helenki R. Jak to ona narzekała na straszne nudy na wsi i mówiła siostrze, że jej zazdrości pensyonarskiego życia, bo ona, nie mając co robić u rodziców, od rana do wieczora poziewa.

Nie, tego doprawdy zrozumieć nie mogę, żeby kto na wsi miał się nudzić, poziewać, kiedy tu na każdym kroku tak łatwo wynaleźć sobie zajęcie i to takie, co się nam odwdzięczy. Ja na przykład niedługo tu bawić będę, niepodobna mi więc myśleć o jakimś poważniejszym zajęciu, ale wyprosiłam sobie u cioci grządkę w ogrodzie, urządziłam na niej z pomocą moich chłopczków ładne rabatki, według deseniów, które znalazłam w książce ogrodniczej, ponasadzałam tam i posiewałam różnych kwiatków, a teraz je pielęgnuję sama. Nie masz wyobrażenia, jaką mi to przyjemność sprawiło, gdy obaczyła dziś rano, że moja rezeda powschodziła. Ciągle sobie powtarzam, że to ja własną ręką wrzuciłam w ziemię ziarnka, z których te zielone listeczki się wydobyły. Prawie tak byłam uradowana, jak Jaś, mały kolonista letni, który kopał ziemię pod tę rezedę i dziś pierwszy przyciął do mnie, wołając w niebogłosy: „Panienko! Panienko! Tam takie małe zielone listeczki z ziemi wyglądają. Może to nasza rezeda już wyrosła?”

Ten wyraz „nasza” ubawił mnie niezmiernie w jego ustach. A potem pomyślałam sobie: jak też to człowiek łatwo się przywiązuje do każdej rzeczy, jeśli tylko rękę do niej przyłoży, pracą swoją przywłaszczysz ją sobie niejako. I znów stanęły mi w pamięci narzekania owęj p. Eleonory. Mój Boże! ona się nudziła, poziewała przez dzień cały, mieszkając w wiosce swych rodziców, gdzie przecież każdy kawałek ziemi w ogrodzie, każde stworzenie żyjące na folwarku, wszystko mogła nazwać „swojem”. Że też nie umiała przywiązać się do niczego, nie nabrała zamiłowania do żadnego pożytecznego zajęcia. Bo pojmuję, że kwiatki wystarczyć nie mogą, ja także, gdybym tu dłużej mieszkać miała, obmyślałabym sobie coś „pożytywniejszego”, jak to mówią.

Przychodziło mi już do głowy hodowanie ryb w sadzawce ogrodowej cioci. Tu nikt niema czasu się tem zatrudnić, a sadzawka jest duża, zupełnie stosowna do tego,

możnaby zaprowadzić najlepsze gatunki ryb, potem je sprzedawać w miasteczku pobliskim i mieć dobry dochód. Trzeba być doprawdy bardzo nierozsądną, żeby po ukończeniu wychowania nie umieć się uchronić od nudów na wsi, tyle tu jest gałęzi pracy, nietkniętych prawie. A trudno przypuścić, aby rodzice nie zechcieli w tem córce dopomóc, choćby w początkach potrzeba było na to pewnego nakładu. Minęły już przecież te czasy, gdy panny lepszego urodzenia wstydyły się pracy zarobkowej.

Rozpisałam się o gospodarstwie i odbiegłam od przedmiotu głównego, a miałabym ci jeszcze немало do powiedzenia o tych dzieciach z kolonij letnich. Zadziwi cię to może, ale ja naprawdę w towarzystwie tych malców znajduję pewnego rodzaju rozrywkę i przyjemność. Zapoznali się ze mną i zaprzyjaźnili, opowiadają mi o rodzicach, o życiu swoim w Warszawie, a ja tym sposobem dowiaduję się nieraz takich rzeczy, o jakich najmniejszego wyobrażenia nie miałam. W niedzielę poszliśmy z rana do kościoła wiejskiego, zabierając całą gromadkę chłopców, po obiedzie ja znów wybrałam się na dalszą przechadzkę z nimi.

Nie możesz sobie wyobrazić, Marylko droga, jak się ubawiłam. Wszystko te dzieci w zachwycenie wprawiało; gdy któryś spostrzegł wiewiórkę na drzewie, o mało nie poszaleli, goniąc za nią i wykrzykując, jaki to ona ma ogon, jakie uszki, jak skacze zgrabnie, że i w cyrku lepięć nie potrafią. Widok grzybów, jagód, kwiatów, wywoływał także okrzyki radości. A z jaką uwagą, z jakim zajęciem słuchali, gdy im tłumaczyłam różne rzeczy, niezrozumiałe dla nich. Niektórzy zadawali bardzo roztropne pytania i nie raz musiałam dobrze się zastanowić, ażeby baka nie palnąć.

Większa część gromadki rozbiegła się po lesie, szukając grzybów lub jagód, ja sobie usiadłam nad strumieniem, na skraju lasu, trzech chłopców zostało przy mnie, a tymczasem nadeszło dwoje dzieci wiejskich. Z początku trzymały się zdaleka, ale je ośmieliłam i zaprosiłam, ażeby się do nas zbliżyły. Chłopczyk miał wędkę i zaczął łowić płotki w strumieniu, dziewczynka myła garnuszek w wodzie. Wciągnęłam je powoli do rozmowy i szczerze ci mówię, czas mi szedł tak przyjemnie w towarzystwie tej dziatwy, że ani się spostrzegłam, gdy słońce zaszło i żał mi było powracać do domu.

Różne myśli snuły mi się po głowie, gdy szłam na czele tej trzodki swojej, do której się przyłączyło i dwoje dzieci wiejskich, a po drodze jeszcze i innych kilkoro. Dziwna to rzecz doprawdy, dlaczego my tak mało znamy życie i obyczaje braci naszych, na tej samej ziemi zamieszkających, oddzielonych od nas tak zwaną „sferą towarzyską” daleko więcej niżeli przestrzenią ogromną. Dokładniejsze częstokroć mamy wiadomości o sposobie życia czerwonoskórych Indian lub Australczyków, niż włościan, sąsiadujących z nami o mieczę, lub uboższych rzemieślników i wyrobników, mieszkających w tych samych kamienicach, w suterynach lub na poddaszach. Oni także patrzą na nas, jakby na odmienny jakiś gatunek ludzi. Czy to dobrze, czy nie należałoby zmienić tego stosunku?

Ale nie moja rzecz rozumować o tych rzeczach, gdybym jednak mieszkała na wsi, starałabym się zaprzyjaźnić z dziatwą włościańską, a przez dziatwę z matkami. Jest to także przyjemność, więcej niż przyjemność, rozkosz prawdziwa, oświecić kogoś, podzielić się wiadomościami własnymi z tymi, którzy ich są pozbawieni. Nie uwierzysz, jaką mi to radość sprawiało, gdy te dzieci zadawały mi pytania, a ja mogłam odpowiedzieć, wyjaśnić im, wytłumaczyć to, czego nie rozumiały. Rzeczy to były proste, niezbyt mądre, więc nie mogłam się unościć zarumiałością, lecz doznawałam uczucia pewnej dumy, i zdaje mi się, że mam prawo to nazwać dumą szlachetną.

Muszę kończyć, bo ciocia spostrzegła przez szparę we drzwiach zapaloną świecę w pokoiku, a już jest jedenasta i powinienam spać od godziny przynajmniej. My tu zasypiamy wszyscy prawie z kurami, za to wstajemy raniutko. Bo też szkoda byłoby przesypiać tych ślicznych ranków na

wsii; gdy rosa błyszczy na trawach, kwiatach, wszystko wygląda tak świeżutko, tak cudnie, że najprozaiczniejsza istota musiałaby się zachwycić tym widokiem. Ogród Saski, pomimo całej swjej piękności, nie może dać żadnego wyobrażenia o uroku przyrody prawdziwej, żadną sztuką nie przyozdobionej.

Ale dość już tej gadaniny, chociaż nie powiedziałam i połowy tego, co miałam do powiedzenia; ciocia po raz trzeci już do drzwi stuknęła, wołając: „spać! spać!”, cprawda i oczy mi się kleją, więc dobranoc, Marylko moja droga, i do widzenia w Warszawie, ściska cię po tysiąc razy twoja ko chająca

Wanda R.

GRY TOWARZYSKIE.

Gra w pytania i odpowiedzi.

Towarzystwo zasiada przy stoliku, lub przy kilku stolikach, jeżeli dużo osób do gry należy. Każdy trzyma w ręku ołówek i ma przed sobą kawałek papieru. Połowa zwyczajnej ćwiartki najzupełniej jest wystarczająca. W braku ołówek, jeden może służyć dla dwóch lub trzech osób, siedzących obok siebie i piszących po kolei.

Najpierw każdy na swoim papierku pisze zapytanie jakiegokolwiek, najdziwniejsze i najzabawniejsze mogą występować dla rozmaitości obok poważnych. Nic łatwiejszego, jak wymyślić pytanie. Rozumie się, że każdy pisze swoje pokryjomu przed innymi. Napisawszy, składa paperek we czworo i wrzuca do przeznaczonego na to koszyka.

Jedna z osob grających miesza wszystkie te papierki, jeden ze środka wybiera dla siebie, resztę podaje innym, ci zaś wyciągają na los szczęścia po jednym. I znowu każdy na papierku złożonym we czworo, nie rozwijając go wcale, pisze wyraz, jeden wyraz, jaki mu się podoba, rzeczownik, przymiotnik, słowo, cokolwiek. Po raz drugi papierki idą do koszyka, po zmieszaniu, grający wyciągają je powtórnie po jednym, ale teraz z oczami zamkniętymi, aby nie widzieć nawet owych wyrazów, na wierzchu wypisanych.

Tym razem każdy rozwija wyciągnięty paperek, czyta zapytanie i pisze pod spodem odpowiedź, w której powinien koniecznie pomieścić ów wyraz, wypisany na wierzchu. Bywa to czasem dosyć trudne, zawsze jednak można sobie poradzić, bo niema przecież konieczności, aby odpowiedź była bardzo mądra, byle się stosowała do zapytania.

W jednym z domów wiejskich dobrane kółko młodzieży podczas dni słotnych, a nie brakło ich, niestety! w tym roku, godziny całe spędzało przy tej grze, znajdując w niej przyjemną rozrywkę. Przytoczymy tu dla przykładu niektóre pytania i odpowiedzi.

Jedna ze starszych panienek napisała zapytanie: „Gdzie jest szczęście?” a studencik, myśląc zapewne o deszczu, padającym nieustannie strumieniami, gdy mu się dostało to zapytanie, ukryte rozumie się w papierku, we czworo złożonym, wypisał na wierzchu wyraz „parasol.”

Możecie sobie wyobrazić kłopot drugiej panienki, która musiała odpowiadać na zapytanie i ten „parasol” umieścić w odpowiedzi. Ale zanadto była roztropna, aby głowę stracić, pomyślała więc trochę i napisała. „Podczas takiej ulewy, jak dziś, szczęście jest, gdy się ma parasol pod ręką.”

Mała dziewczynka napisała zapytanie: „Czy lubisz pierniki?” a ktoś dodał na wierzchu wyraz „chmura.” Wszyscy widocznie od tego deszczu myśli odwrócić nie mogli. Otóż pewien dowcipny młodzieniec i tu wynalazł trafną odpowiedź, napisał: „Niecierpię pierników, jak tylko je obaczę, chmura mi występuje na czoło.”

Czasem wyraz doskonale się stosuje do zapytania, a czasem znów zabawne się ztąd układają koncepta. I tak ktoś zapytał: „Jaki kolor najładziej lubisz?” a drugi dopisał



Wciągnęłam je powoli do rozinowy (str. 308)

wyraz: „gorąco.” Odpowiedź brzmiała: „Lubię kolor czerwony, który przypomina ogień, a ja lubię także bardzo, gdy mi jest gorąco.” Pytanie: „Czy daleko do Warszawy?” wyraz dopisany: „ogród.” Odpowiedź: „Do Warszawy dalej w każdym razie, aniżeli do ogrodu.” Pytanie: „Jaka powieść w „Wieczorach” najlepiej ci się podoba?” Wyraz dopisany: „rozbójnik.” Odpowiedź: „Wszystkie mi się podobają, szkoda tylko, że w żadnej niema o rozbójniku wzmianki, bo to byłoby bardzo zabawne.”

Przy odczytywaniu głośnem tych pytań i odpowiedzi można się czasem porządnie uśmiać; tylko fantów przy tej grze niema, bo każdy przecież zdobędzie się na odpowiedź.

Ciocia Jania.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Ja na tem wszystkiem najgorzej wyszedłem, byłem zupełnie osamotniony. Nie chciałem przeszkadzać wodzom w naradach wojskowych, ani naprzykrzać się paniom, zajętych rekonwalescentem, wujaszek Bak zwyczajem swoim włóczył się po okolicy, ciągnąc za sobą Karola. Nie mając do kogo słowa przemówić, z nudów poszedłem dnia pewnego do biblioteki. Zauja nie spała się całkowicie podczas owego

pożaru, który zakończył walkę z Kuanami, spłonęła tylko niewielka część budynków drewnianych, główny gmach środkowy ocalał

Biblioteka mieści się w dużej sali kwadratowej, o ścianach bielonych i podłodze wyłożonej ozdobnymi matami. O szafach lub półkach Afrykanie rozumie się nie mają wyobrażenia, księgi a raczej rękopisy leżą ogromnymi stosami na matach. Darmo także szukałem katalogu, uczeni tutejsi o niczem podobnem nie słyszeli, musiałem więc na chybił trafił czerpać w stosach. Były tam dzieła arabskie, greckie, łacińskie, nawet hiszpańskie. Mogłem czytać wszystkie, oprócz arabskich.

Założycielem tego przybytku wiedzy ma być, według podania, słynny sułtan Mansa Mussa. Następca jego Mohamed Askia zgromadził najwięcej skarbów literackich w tej bibliotece, a gdy Marokanie opanowali Timbukt i dokładniejsze nieco wieści o tej tajemniczej stolicy dochodzić zaczęły do Europy, wielkie było zdziwienie powszechne; nikomu bowiem przedtem na myśl nawet nie przyszło, ażeby żywy mahometański tak potężnie panował na wybrzeżach Nigru i posiadał tam ognisko swojej cywilizacji. Z zajęciem przeglądałem dokumenta nagromadzone w owej bibliotece, natrafiłem tam na szczegóły bardzo ciekawe, dotyczące się dziejów Sudanu i miasta Timbukt.

Początki jego gubią się w czasach zamierzchłej starożytności. Opowiadając o Nazamonach, mieszkańcach Tripolisu, Herodot wspomina o znaczniejszem mieście, stolicy rozległej krainy, przetrzniętej wielką rzeką. Tem miastem prawdopodobnie było Timbukt. Zнали je także Kartagińczycy, nazywali „Hekatompylę” czyli miasto o stu bramach, a nazwa ta stosowna jest bardzo dla „Gwiazdy Sudanu”, która, jak wspominaliśmy, stanowi punkt środkowy licznych dróg rozchodzących się w najrozmaitszych kierunkach. Rzymianie zwali ją „Tabudium”.

Wpadając kolejno w ręce różnych nieprzyjaciół, między innymi Kartagińczyków i wodza rzymskiego Balbusa, miasto Timbuktu nieraz było do szczytu niszczone. Podniosło się dopiero na dobre w XI wieku ery naszej, za rządów dzielnego wodza Tuaregów imieniem Mansa Silman. Odtąd prawie ciągle pozostawało w stanie kwitnącym, chociaż klęski rozmaite nawiedzały je kiedyniekiedy. Odczytywałem z uwagą kroniki miejscowe i poznałem dokładnie dzieje miasta. Mój Boże! ileż to razy już przedtem oblegali je najrozmaitsi nieprzyjaciele; oblężenie nie było dlań wcale nowością.

W XIV wieku Timbukt wpadło w ręce sułtana Mansa Mussy, władcy krainy Melle; wkrótce zrzucił go z tronu Mansa Silman, w XV wieku po krwawej walce obejmuje władzę At Kil, wódz Tuaregów północnych, następnie bierze górę plemię Sonraisów i wódz ich Sonni Ali na tron wstępuje. W XVI wieku pod panowaniem Mohameda Askii miasto doszło do szczytu wielkości, słynęło z bogactw i potęgi, posiadało dwie floty, złożone każda ze stu okrętów, stojących w porcie Kabary, rozciągało panowanie swe na całe wybrzeże Nigru; wówczas Timbukt zasługiwało na nazwę „królowej Sudanu”.

Zbudziła się też wkrótce ciekawość Marokanów, sułtan ich Mulaj Achmet podbił Timbukt i dynastia jego panowała tam aż do r. 1826. W tych czasach powstałi Fulanie i rządy objęli na czas krótki, w r. 1844 Tuaregowie z Taganetu stali się panami miasta. Obecnie zagrażało mu oblężeniem inne plemię Tuaregów.

Spotkaliśmy się z wielkorządcą naszym Francuzem, opowiadałem mu te dzieje, wyczytane w rocznikach miasta, lecz słuchał tego jednem uchem tylko, przeszłość nie obchodziła go wcale, zanadto był zajęty sprawami obecnej chwili. Ciągłe zamyśloni, lub kreślący plany na papierze, p. Lemer cier nie mógł mówić o niczem, tylko o zbliżającej się wojnie. Często miewał narady z szejkiem El Bakai, Edgar Voost należał do nich także. Pewnego wieczora Francuz wezwał mnie do siebie.

— Doktorze — rzekł — jutro rozpoczynamy kroki wojenne. Zajmij się pan przygotowaniem ambulansu, bo z pewnością przybędzie nowy transport rannych.

— Cóż znowu! a ja sądziłem, że pan nie myślisz walki rozpoczynać. Wszak sam mówiłeś, że zamkniesz się jak ślimak w skorupie.

— To prawda; ale nieprzyjaciół postępuje tak leniwie, że mię wyprowadził z cierpliwości, muszę go trochę poturbować.

— Więc zuów będzie wycieczka zamiejska? Ciekawy jestem, który oddział przeznaczyłeś pan do tego.

— Szejk El Bakai podał pomysł wyborny, który potwierdziłem.

— Cóż takiego?

— O, nic nie powiem. Jeżeliś pan ciekawy, wejdź jutro na platformę minaretu Sankory, a nie zapomnij zabrać z sobą lornetkę. Ja tam przyjdę także i będziemy mogli doskonale śledzić zdaleka wszystkie ruchy obu wojsk.

— Więc pan nie będziesz sam dowodził osobiście w tej walce?

— O nie; wielkorządca miasta nie powinien nigdy osobiście brać udziału w wycieczkach wojskowych. Jego obowiązkiem jest strzedz powierzonych mu murów, kierować wszystkim, wydawać rozkazy, w ostateczności dopiero może wziąć sam broń do ręki. Mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie, nasz Edgar pragnie gorąco naprawić błędy Imestana.

— Oby wam się powiodło, oby ci nieznosni Auelimidenowie jaknajprędzej rzekli się oblężenia i powrócili do swoich siedlisk.

— Ba! to nie łatwa sprawa, jutrzejsza wycieczka tak świetnych skutków zapewne mieć nie będzie.

— A więc pocóż ją przedsiębrać?

— Idzie mi o to, jak już wspomniałem, aby poturbować trochę nieprzyjaciela, zaniepokoić go przynajmniej, skoro istotnej klęski zadać mu nie mogę. Bo nie myślę tego ukrywać przed panem, siły napastników znakomicie przewyższają nasze.

— Jakto? nie masz pan żadnej nadziei ich pokonać i rozpoczynasz kroki wojenne? Do czegoż to doprowadzi?

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć, do czego mię to doprowadzi; w każdym razie spełnię obowiązek swój sumiennie do końca, bronić się będę do upadłego.

— Nawet bez żadnej nadziei?

— Nadziei nigdy zupełnie tracić nie należy, ja też pomimo wszystkiego nie przestaję liczyć na pomoc Opatrzności. Do widzenia, kochany doktorze, muszę iść wydać ostatnie rozkazy, a pan zajmij się szpitalem.

Przywołałem Karola i zacząłem mu dawać różne rozporządzenia, dotyczące się szpitala, ale p. Karol niechętnie bardzo mnie słuchał, kręcił nosem i wzdychał wymownie. Wędrówki botaniczne i urządzanie zielników z wujaszkiem Bakiem nęciło go daleko więcej niż nudne zajęcia szpitalne. Nakoniec wyjąkał, że w tej chwili musi koniecznie poprzekładać w świeżym bibułę szacowne jakieś rośliny i ostatecznie prosił, ażebym mu dał na to papieru. Tego już było zanadto, cierpliwość mnie opuściła, wybuchnąłem gniewem.

— Co, papieru? — wołałem zaperzony — nie dam wam papieru i z pewnością nie dostaniecie go w całym mieście. Wyperswaduj to i sobie, i temu staremu nudziarzowi. Powiedz mu zresztą, że teraz nie pora myśleć o zielnikach, ważniejsze sprawy mamy na głowie. Rzuć mi to zaraz i ruszaj do szpitala, pamiętaj, żebym jutro rano zastał przybory do opatrunków w porządku.

Karol bąkał coś jeszcze, lecz widząc, że to nie przelewki, poszedł ze spuszczonego nosem do szpitala. Nazajutrz, obejrawszy ambulans i przekonawszy się, że polecenia moje były spełnione, poszedłem na ów minaret, wskazany wczoraj przez Francuza. Już go tam zastałem, trzymał w ręku lunetę polową i spoglądał w stronę wschodnią.

— Patrz, doktorze — rzekł do mnie — oddział nasz już się porusza.

— Oddział! — odpowiedziałem zdziwiony — widzę tylko gromadę wielbłądów.

— Bo też nic innego w tej chwili obaczyć tam nie można. Są to wielbłądy kupców przybyłych tu karawanami z Rdamesu i Insalach. W tej nagłej potrzebie zabrałem je wszystkie.

— A ludzie, gdzie są ludzie?

— Poczekaj pan, wkrótce ludzie się ukażą.

Upłynęła cała godzina, wielbłądy posuwały się ciągle w kierunku wschodnim. W oddaleniu widać było doskonale szeregi Auelimidenów. Gdy gromada wielbłądów zbliżała się do nich na odległość strzału, szczególny widok przedstawił się oczom naszym. Roztropne zwierzęta, które szły dotąd tłumnie, jak trzoda owiec, widocznie posłuszne jakimś tajonym rozkazom, poczęły się rozsuwać, ustawiać porządkiem, aż utworzyły ośm rzędów, stając jedne za drugimi. Wyglądało to zupełnie na redutę.

— A co? — spytał p. Lemer cier z uśmiechem — czy teraz zrozumiałeś pan, co z tego będzie?

— Przysnam się, że jeszcze nie zupełnie.

— Poczekaj pan, zaraz się wszystko wyjaśni.

W rzeczy samej po chwili i ja zrozumiałem wszystko doskonale. Za tym wałem żyjącym, z wielbłądów złożonym, poczęły się ustawiać rzędem wojownicy ze strzelbami w rękach. Przez cały czas pochodu ukrywali się starannie, pełzną pod brzuchami zwierząt. Był to oddział Fulanów pod dowództwem Imestana. Odstępy pomiędzy wysokimi nogami „okrętów pustyni” służyły im za strzelnice. A byli to wszystko strzelcy wyprobowani, żadna prawie kula nie chybiała celu, oni zaś doskonale byli zabezpieczeni. Co więcej, reduta żyjąca przesuwawa się z miejsca na miejsce, a tym sposobem kule dochodziły wszędzie, niepokojąc cały obóz Auelimidenów, wyciągnięty długą linią.

— Bardzo dobrze — mówił p. Lemer cier z zadowoleniem — doskonale; manewr wojenny niezwykle i wielce dowcipny. Pomysł to szejka Achmeta El Bakai, a raczej dowód tylko jego pamięci i przytomności umysłu, gdyż ten sposób wojowania był w użyciu u Tuaregów od czasów niepamiętnych, wspominają o tem dzieje, a w pewnym poemacie bohaterskim jest opis znakomitego zwycięstwa, odniesionego za pomocą baterii z wielbłądów.

— A pan podobno wyśmiewasz się z poezji — rzekłem z uśmiechem — tymczasem ów poemat przydał się przecież na coś, jeżeli przypominał szejkowi dowcipny manewr wojenny.

— Ba! mógł autor z większym pożytkiem opisać też samo prozą. Mam nadzieję, że teraźniejsza wojna nie będzie opiewana rymami. Ale patrz pan, patrz, teraz będziemy mieli najciekawszy widok.

Na placu boju ruch coraz większy dostrzegać się dawał, nieprzyjaciel, odurzony zrazu niespodziewaną napaścią, przyszedłszy wreszcie do siebie, zaczął się bronić zawzięcie, artyleria wysunęła się naprzód i zabójcze granaty położyły trupem kilka wielbłądów, stojących w pierwszym szeregu. Następnie szeregi Auelimidenów rozsunęły się w półkole, miały widocznie zamiar otoczyć przeciwników i wziąć ich we dwa ognie. Lecz bateria ruchoma zaczęła uwiąjać się jak dwa ognie, po równinie, zręcznie umykając w rozmaitych kierunkach, aby pogoń zmylić, wreszcie cofała się w porządku, bez zbytejnego pośpiechu, ku miastu.

A wtem z podziwieniem ujrzałem, jak żyjąca ta bateria zatrzymała się, rozdzieliła nagle na dwoje, a ze środka wybiegła spora gromadka wielbłądów i popędziła prosto naprzeciw pogoni nieprzyjacielskiej. Zwierzęta były jakby oszalałe, lecz co dziwniejsza, że i pośród wojowników, na których wielbłądy wpadły z szalonym pędem, powstał popłoch i zamieszanie. Przestali gonić za uciekającymi, sami cofać się poczęli przed tą osobliwą napaścią. Wytłómaczył mi p. Lemer cier, że nieszczęśliwe wielbłądy skazane były na ofiarę dla osłonięcia odwrotu Fulanów. Obladowa-

no je smolnem łuczywem, które w ostatniej chwili zapalono, niosły więc pożogę szeregom nieprzyjacielskim i powstrzymały je na chwilę, a tymczasem Imestan Edgar wprowadzał oddział swój w bramy miasta.

— Wybornie, doskonale! — powtarzał wielkorządca, zacierając ręce — ten wybieg był nawet używany w Algierze z powodzeniem, marszałek Bugeaud, słynny nasz wódz, w walkach z Beduinami uciekał się do tego środka. Możemy śmiało brać przykład z takiego bohatera.

XVIII.

Rękopis Achmeta Baby.

Zeszliśmy obaj z minaretu, o parę kroków od meczetu spotkał się wujaszka Baka, zacierał ręce, oczy jego radością błyszczały.

— Powodzenie co się zowie — mówił z uśmiechem tryumfu — świetne, w całym znaczeniu tego wyrazu.

— Co? już pan wiesz o wszystkim? — zapytałem z podziwieniem.

— Rozumie się, że wiem, a nie spodziewałem się, żeby tak znakomicie się to udało.

— W rzeczy samej — odezwał się p. Lemer cier — wykonanie całej sprawy nic nie pozostawiało do życzenia.

— Ba! o tem niema co i mówić — rzekł wujaszek.

— Jest to zapewne powodzenie — ciągnął dalej wielkorządca z lekkim westchnieniem — lecz nie cieszymy się zbyt wcześnie, bo nie wiemy, jak się to skończy...

— Co, co! — przerwał wujaszek Bak z zapalem — jakże się ma skończyć? Najmniejszej wątpliwości już niema, teraz wszystko pójdzie, jak z płatka.

Francuz pokręcił głową z niedowierzaniem, a mnie dopiero teraz na myśl przyszło, że nasz botanik z pewnością ani wiedział o wycieczce i zupełnie o czem innem gawędził. Powstrzymując się więc całą siłą od śmiechu, zapytałem wreszcie:

— Cóż to za powodzenie, którego tak pewny jesteś, kochany panie?

— Tak, jestem pewny, bo też mam do tego prawo, cierpliwość moja, praca wytrwała, zasługuje przecież na nagrodę.

— Nie wątpię o tem wcale, ale o cóż to idzie właściwie?

— Chodź pan ze mną, a zobaczysz na własne oczy; jest na co popatrzeć! Mogę się pochwalić bez zarzucia, że nieraz mi się udawały przedsięwzięcia niełatwe, lecz tym razem niedowierzałem sobie. A jednak przyjęła się, powiadam panu, doskonale się przyjęła najpyszniejsza *sterculia macrocarpa* na dzicze innego gatunku, *sterculia acuminata*.

Szczęśliwy człowiek z tego wujaszka Baka! Nie myśli o niebezpieczeństwie, nie troszczy się o nic; choćby pioruny biły mu nad głową i ziemia drżała pod jego stopami, on nie spostrzeże tego, byle miał przed oczyma ukochane swoje rośliny. Co do mnie, nie ciekawy byłem owych cudownych szczepów, wolałem pójść z Francuzem naprzeciw zwycięzkiego oddziału. Młody wódz sprawił się znakomicie dużo, szkody wyrządził nieprzyjacielowi, sam poniósł bardzo nieznaczną; poświęcił tylko ze sto wielbłądów, lecz z ludzi nie zginął ani jeden, reduta żyjąca osłaniała ich wybornie od pocisków armatnich. Kilku czauszów tylko było lekko rannych, odesłano ich do mojego ambulansu. Wielkorządca nie tryumfował wprawdzie tak głośno, jak wujaszek Bak, ale był zadowolony.

Nie poprzestał też na tej pierwszej próbie, w ciągu Marca i pierwszej połowy Kwietnia urządził jeszcze sześć wycieczek podobnych, a wszystkie się dobrze powiodły. W końcu jednak zabrakło wielbłądów, mnóstwo tych nieszczęśliwych zwierząt padło w obronie ludzi, teraz musieliśmy siedzieć cicho i czekać dalszych wypadków. Niewesołe to było wcale oczekiwanie, wojsko nieprzyjacielskie opasało miasto dokoła, lada dzień wyglądaliśmy szturm. P. Guduła modliła się i robiła pończochę, p. Katarzyna z nieu-

Prosimy po wiele razy i znowu najusilniej prosimy czytelników naszych, aby przy żądaniu przesłania zatraconych N-rów Pisma lub innych przesyłek, nie zapominali wypisać w liście nazwisko swoje prawdziwe i adres dokładny. Upředzamy, że żądania podobne, pseudonymami tylko podpisane, uwzględnione być nie mogą, gdyż wyznajdowanie nazwisk i adresów zadużo kłopotu przyczynia administracji Pisma.



OSY I MOTYLE.

— Motylek, motylek, dwa, trzy motylki! — wołał Leonek — o, żebyż to złapać którego!

I biegł tak szybko za motylkami, że się potknął i upadł na trawkę, ale zaraz usiadł i próbował kapeluszem przykryć motylka.

— Daj mu pokój, pocóż go łapać! — mówiła siostrzyczka Leonka, mała Zosia. Ona oczkami tylko motylka goniła i główkę tak podnosiła do góry, że kapeluszik się zsunął i na wstążkach zawisł na szyjce.

— Jaby mu nic złego nie zrobił — tłumaczył się Leonek — przypatrzyłbym mu się zblizka i wypuściłbym go zaraz znowu. I czego on mnie się boi, czego on ucieka, ten nierozsądny motylek?

— Oj, ma on dobry rozum, że ucieka — odrzekła Zosia — tybyś go zgniótł w palcach, niechcący zapewne, ale jego skrzydełka są bardzo wężkie, mogłyby się połamać, gdybyś biedaczka chwycił nieostroźnie. Dobrze się stało, cieszę się, żeś go nie złapał.

— Taka to z ciebie dobra siostra — mruknął Leonek zadąsany — wolisz motylka, niż rodzzonego brata!

— O, Leonku! jakże ty możesz tak mówić. Dlatego, że nie chcę, ażeby mój brat był okrutnikiem... Ale patrz no, patrz, osa leci, coś trzyma w łapkach, jakby muchę... doprawdy mucha i to rozszarpana, nieżywa. Niegodziwa osa, poco ona tę muchę zamordowała, czy ją chce pożreć?

— Coś ci się przywidziało, moja Zcsiu — rzekł Leonek — osy nie żywią się muchami, wysysają sok z kwiatów, tak samo, jak pszczoły, lubią jeszcze lepiej sok z owoców, psują gruszki i jabłka na drzewach, ale nie słyszałem nigdy, ażeby mordowały i pożerały muchy.

— A jednak widziałam na własne oczy... o, spojrzij w tę stronę, to i sam obaczysz.

— Prawda — powiedział po chwili Leonek — widziałem i ja na własne oczy, trzymała w łapkach roz-

szarpaną muchę i poleciała z nią gdzieś dalej. Nie rozumiem, co to może znaczyć.

— Trzeba się zapytać panny Waleryi — rzekła Zosia — oto właśnie idzie — i pobięła naprzeciw nauczycielki.

Panna Walerya wysłuchiwała opowiadania dzieci, uśmiechnęła się i rzekła:

— Słusznie mówi Leonek, osy nie jadają same much, ale mordują je na pokarm dla swoich dzieci.

— Więc to małe osy pożerają muchy? — spytała Zosia.

— Nie małe osy — odpowiedziała nauczycielka — lecz małe gąsieniczki, z których później wychodzą osy. Czy zapomniałaś już o tem, co ci opowiadałam tyle razy, że owady nie rosną i nie rozwijają się w taki sposób, jak ptaki i inne zwierzęta, które są najpierw malutkie, potem większe, zawsze jednak postać mają tę samą. Motyle, chrabąszcze, osy, muchy, jednym słowem wszelkie owady wychodzą z jajek w postaci liszek czyli gąsienic, małych robaczków. Potem zamieniają się w poczwarki nieruchome, jakby uśpione, a z tych dopiero wydobywają się wykształcone owady. Te już nie rosną, odrazu mają wielkość taką, jaką zachowają do końca życia.

— Ależ my to wszystko wiemy — odezwał się Leonek — Niech pani nam tylko powie, poco ta osa zamordowała muchę.

— Dla swoich liszek — odpowiedziała panna Walerya — osy lubią soki roślinne i nigdy nie jadają nic innego, lecz dzieci ich, owe małe liszki, łakome są bardzo na mięso, na muchy, a roślinnymi pokarmami gardzą. Otóż matki osy wiedzą o tem dobrze, bo Pan Bóg dał każdemu stworzeniu taki instynkt, że potrzeby swojego potomstwa przeczuwa. Nieraz moglibyście także widzieć osę, niosącą w łapkach odrobinę mięsa, ukradzioną u rzeźnika lub w jakiej kuchni, mordując też owady rozmaite bez litości i zanosząc do gniazda.

— A motylki, czy także swoje liszki karmią — spytała Zosia.

— Motylki giną zwykle prędko po złożeniu jajek — odrzekła panna Walerya — ale i one obdarzone są dobroczynnym instynktem, zawsze wiedzą, co te dzieci najlepiej lubią, chociaż one ich nigdy nie obaczają. Więc matka motylków składa swoje jajka w takim miejscu, gdzie liszki, wyszedłszy z jajek, odrazu najstosowniejszy dla siebie pokarm znajdą. Jest naprzykład gatunek gąsienic, lubiących nad wszystko liście kapusty. Białe motyle, rodzice tych gąsienic, same piją sok kwiatów, zupełnie się tem zadowalniając, liści żadnych ani skosztują. Tymczasem jajka składają zawsze na liściach kapuścianych i gąsienice potem okropne szkody wyrządzają w ogrodach.

— Biedneż te motylki — rzekła Zosia — to one nigdy nie widzą swoich dzieci i nie cieszą się nimi, a liszki ich nieboraczki zawsze są sierotkami.

— To jednak dziwne — dodał Leonek — że one takie mają przeczucie i odgadują upodobania swych nieznanym dzieci.

— Instynkt owadów bywa niekiedy zadziwiający — rzekła panna Walerya — inne motyle składają jaja w mięso, wynajdują szczątki zwierzęce i zabezpieczają dziatwie żywność. Każda liszka znajduje bez kłopotu, wyszedłszy z jajka, to, co jej do życia potrzebne. Opatrzność o tem pamięta i instynkt cudowny dała matkom ich w tym celu.

M. J. Z.

Z JAGODAMI.

Poszło dziewczę na jagody do boru,
Lecz tych jagód, co uzbiera, nie sprzedaje,
Poniesie je dla panienki do dworu,
Co wspomaga, kiedy w chacie jest bieda.
Poniesie je, odda w darze i powie:
„Niech wam pójdą te jagódki na zdrowie,
Niech się niemi wasze liczko zrumieni,
Jak jagódki, co tam rosną w zieleni,
Gdy wy serce macie słodkie dla dzieci,
To w ich sercach miłość ku wam się nieci.

Z. Morawska.

Zmarnowana majówka.

Jednego roku miesiąc Maj był bardzo suchy, co jak wiadomo, nie sprzyja urodzajom. Powietrze było duszne i kurzawa pokrywała ulice, to też mały Kazio aż podskoczył z radości, gdy ojciec rzekł:

— Pojutrze mam dzień swobodny, pojedziemy za miasto do wujaszka odetchnąć świeżym powietrzem.

Do wujaszka nie często się jeździło, bo i ojciec miał zajęcie w mieście i Kazio nie mógł nauk przerywać, a teraz właśnie złożyło się tak szczęśliwie, że i Kaziowi na dzień naznaczony wypadała galówka; u wujaszka zaś, oprócz wiejskich przysmaków, było trzech chłopczyków uczących się w domu z nauczycielem, huśtawki, gimnastyka i doskonałe koniki, na których Kazio uczył się jeździć wraz z wujecznymi braćmi. Nic dziwnego zatem, że skakał chłopczyk z radości, dowiedziawszy się, że pojutrze do wuja pojedzie.

Nadszedł dzień upragniony, zajechał powóz, Kazio już bierze kapelusz, a tu jak lunie deszcz!... i to nie lada jaki deszcz, ale prawdziwa burza z gradem i z piorunami, taka, co to mosty zrywa. Trzeba było coprędzej schować konie do stajni, powóz do wozowni i Kazio usiadł sobie w oknie zamkniętem i patrzył na świat. Burza przeszła niezadługo, jak zwykle burze gwałtowne, ale deszcz rześisty, prawdziwa ulewa, zabrał się na cały dzień.

— O mój ty robaczku biedny, otóż tobie nieszczęście, żeby ci się też tak zmarnowała galówka! — zawołała kucharka Wojciechowa, rozżalona zawodem chłopczyny, ściskając go. Ale Kazio wzruszył ramionami i rzekł:

— Moja kochana Wojciechowa, nie bądźcie też dzieckiem: cóż znaczy moja zmarnowana galówka wobec

urodzajów, do których wiecie przecież, że deszcz jest konieczny? Już jeżeli tylko burza poprzednia nie narobiła większych szkód i nieszczęść, to ja z pewnością nie będę żałował, że ten deszcz ulewny zmarnuje mi galówkę, kiedy urodzaje poprawi.

— Ho, ho, ho!... patrzajcie ludzie, jakie też to nie-duże dziecko, a już takie mądrel — szepnęła Wojciechowa, ręce z podziwu składając — to pewno dla tego, że w książkach ciągle czytał...

M. Ziel.

WIELKIE ZDOLNOŚCI,

POWIASTKA Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

przez Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— A to dopiero, takem to dobrze umiał... hm, hm, bo to widzisz, ja jak raz przeczytam, to już i powtórzę, a potem to nie pamiętam, ale ja tak dużo, dużo, tych wierszy umiem.

— A te wiersze przez kogo? — pytał Józio.

— Te? a no pewnie przez Dęboriga — palnął Staś, przypomniałszy sobie to nazwisko z wierszy.

I znowu powiedział głupstwo, bo wiersz powyższy napisał Kondratowicz, co się przezwiał Syrokomlą.

— Ale jeżeli ty tak łatwo zapominasz, czego się nauczysz — rzekł Józio — to ci trudno będzie bardzo zdać egzamin.

— Co też ty mówisz! ja mam wielkie zdolności i miałbym źle zdać egzamin!

— No, ale kiedy tak zapominasz — upierał się Józio.

— To i cóż tam wielkiego, zapominam tylko wierszy, ale przecież z wierszy nikt nas egzaminować nie będzie.

— Tak, to prawda — rzekł zamyślając się Józio — ale z innych nauk... A co też tobie idzie najłatwiej? — dodał po chwili.

— Mnie? mnie wszystko idzie łatwo! Ja mam takie zdolności, że do czego się wezmę, to zaraz umiem!

— Ach, jakiś ty szczęśliwy! — westchnął po swoim Józio. — Ja to się tak długo uczyć muszę.

— Ale łacina, to podobno bardzo trudna, a w pierwszej klasie zaczną nas już uczyć.

— No, to i cóż tam wielkiego, ja tam już uczę się łaciny, umiem dużo wyrazów, np. *Leo*, terra, *lupus*, *avis*, zaciął się a po chwili dalej brnął jak umiał: *Drapax*, *chapax*, *ciupas*, *bogas* i wygadywał różne dziwolągi, chcąc popisać się ze swoją uczonością. Pierwsze bowiem wyrazy jak: *Leo*, lew; *terra*, ziemia; *lupus*, wilk; *avis*, ptak, rzeczywiście były wyrazami łacińskimi, reszta wymyślone przez Stasia i nie miały żadnego znaczenia. Józio jednak słuchał z podziwem i znów zaczął wierzyć w jego uczoność, do której, po wszystkich nieszczęśliwych próbach naszego bohatera, zaczął już coraz mniej mieć ufności.

— A jaką ty naukę najlepiej lubisz? — zapytał po chwili Józio.

— Ja? najlepiej lubię historią!
 — A ja arytmetykę!
 — Och, ja arytmetyki nie lubię, tylko rachować i rachować — odrzekł Staś, skrzywiwszy się.
 — A ja lubię, chociaż lubię i geografiją i naukę o zwierzętach i historią. Ba, ale przy historii, to także rachować trzeba — dodał Józio, namysławiając się.
 — No, tak, ale nie koniecznie.
 — Jakto? a przecież trzeba wiedzieć, w którym roku była jaka bitwa, albo kiedy jaki król panował. Mnie daty przychodzą bardzo łatwo.
 Ojciec, i nauczyciel powiadają, że trzeba się uczyć tego wszystkiego.
 — A tak, tak, to też to, i dlatego nie możemy czytać, ile nam się podoba; ale ja ci powiadam, że ten egzamin, to straszne głupstwo. Kto ma zdolności, to i tak wszystko odrazu umie.
 — No, ale ja nie mam takich wielkich zdolności — rzekł po swojemu Józio.
 — Ha, to i cóż robić, musisz więc się uczyć; ale ja, to już niewiem poco mam zdawać egzamin — mówił Staś — wolałbym czytać, tobym się z tego więcej daleko nauczył.
 — No, ale teraz pójdź, pobawimy się w piłkę na ganku albo w sieni — zakończył Józio, któremu przykro było, że Staś tak ciągle się przechwala ze swojemi zdolnościami, i mówił, że bez nauki wszystko umie, a on musi się dobrze mozolić, nim się czegoś nauczy.

VI.

W ogrodzie, na łące była urządzona gimnastyka, gdzie obadwaj chłopcy bardzo często się bawili. Wieszali się na drabinie, wywijali koziołki na huśtawce i drągach, słowem doskonałą mieli zabawę. Staś brał lekcye gimnastyki w Warszawie, zdawało mu się więc, że lepiej te wszystkie sztuki gimnastyczne potrafi, niż Józio, który tylko sam uczył się zręczności i wyrabiał siłę na gimnastyce.

— Ale bo widzisz — rzekł Staś — ja to widziałem rozmaite sztuki, nie tylko na lekcjach gimnastyki, lecz i w cyrku. Ja ci to zaraz pokażę, tylko trzebaby tę drabinę inaczej przywiązać.

— To trzeba ojca się zapytać, czy pozwoli, bo to bardzo trudno; drabinka jest bardzo mocno przywiązana — odrzekł Józio.

— Ech, cóż tam zaraz ojca się pytać, wszak gimnastyka dla ciebie urządzona — mówił Staś i wdrapywał się bardzo zręcznie na słupek, chcąc swego dokonać.

Rzeczywiście udało mu się po gładkim słupie wdrapać na sam wierzch, potem usiadł na poprzecznym drążku i zaczął odwiązywać silnie zaciśnięte przy kółkach sznury. Odwiązał jeden i drugi węzeł z jednej strony, trzeciego już nie mógł jakoś odrazu odplątać, dał więc pokój, a z drugiej strony wcale nie ruszył. Józio tymczasem wywijał koziołki na drążkach, lub przypatrywał się jego robocie.

— Józio, Józio! — wołał Staś, siedząc na wierzchołku słupka — wsuń się ty na drugi słupek, a potem oba-

dwaj będziemy schodzić po drabinie, zobaczysz, jak to będzie zabawnie.

— Kiedyś ty pewnie odwiązał drabinę?

— Gdzież tam, ani mi się śniło, zacząłem, ale widzę, że to trudna robota, dam już pokój odwiązywaniu. No, prędkiej, Józio — zachęcał Staś ze swojej wyżyny. — Cóż ty się boisz?

— Ale gdzież tam, nie boję się, przecież nieraz na słupek się wdrapywałem, tylko ojciec nie lubi, gdy się tak wysoko wdrapuję bez niego — odrzekł Józio.

— Ech, cóż wielkiego, przecież to nie tak bardzo wysoko, a zresztą ja umiem się doskonale gimnastykować, wszyscy mówią, że jestem ogromnie zręczny, to choćbyś nie umiał dać sobie rady, ja ci pomogę — dodał z miną protekcyjonalną.

Zachęcony namowami, Józio wdrapał się na drugi słupek, i wkrótce obadwaj chłopcy, jeden z jednego rogu, drugi z drugiego, siedzieli na poprzecznym drągu.

— A teraz przysuń się do mnie, i obadwaj po drabinie schodzić będziemy — komenderował Staś. — Zobaczysz jak to będzie ładnie!

I rzeczywiście obadwaj przysunęli się ku sobie, a wzięwszy się za ramiona jedną ręką, drugą przytrzymywali i zaczęli schodzić z drabiny. Zaledwie jednak byli na drugim stopniu, sznur, raz tylko zadzierzgnięty, zaczął się rozluźniać i skrzypieć, a wreszcie odwiązał się zupełnie z jednej strony. Chłopcy zawisli na drabinie, trzymającej się tylko na jednym haku i wiszącej ukośnie, co żadnym sposobem nie pozwalało utrzymać równowagi. Józio uchwycił się z tej strony sznura, gdzie był przywiązany i jedną ręką przytrzymując Stasia, który krzyczał i drżał ze strachu, drugą ręką starał się utrzymać na chwiejącej się drabinie. Zadużyło to jednak było na siły Józia, ażeby równego sobie wzrostem chłopca utrzymać, drżał więc, wysilał się, ale to nic nie pomogło, tem więcej, że Staś tak stracił przytomność, iż nie chwycił sznurów drabiny i nogami prawie wcale się nie trzymał. Kto wie, co by się było stało, gdyby nie ogrodnik, który usłyszawszy krzyki, przyszedł chłopcom na pomoc i zawieszonych w niewygodnej pozycji gimnastyków nie zdjął z drabiny.

— Ale też panicz krzyczał — rzekł ogrodnik, postawiwszy Stasia na ziemi.

— Ba, kiedy ta drabina, ani jój było uchwycić! a chociaż ja się tam niczego nie boję, ale zawsze...

— Ale boś się wcale nie trzymał — rzekł Józio — a jednak można się było choćby szczeblów chwycić.

— Ale bo, tak ci się zdaje... — jękał Staś na usprawiedliwienie.

— A jednak nasz panicz trzymał się i nie krzyczał! — dodał ogrodnik, zabierając się do odejścia.

Chłopcom nic się wprawdzie nie stało, byli tylko bardzo przestraszeni; Józio, nie chcąc oskarżać Stasia przed ojcem, prosił ogrodnika, żeby przywiązał napowrót drabinę, co też ogrodnik przyrzekł, bo wszyscy w domu Józia bardzo lubili.

Łamigłówka głoskowa (L. B.)

S
W O N
A K A K A
F I L
C

Z tych liter rozsypanych ułożyć tytuł powiastki, drukowanej w „Dodatku” dla młodszych dzieci.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 37-go.

Zadania konikowego:

Co było a nie jest nie pisze się w rejestr.

Skrzynka do listów.

Kmiotek niesprawiedliwie narzeka na redakcyę, jeżeli nie otrzymał odpowiedzi, to chyba liścik nie doszedł. Łamigłówka jest dobra, lecz wszystkim tłumaczymy, że nawet i najlepsze nie mogą być natychmiast drukowane, byłoby to krzywdą dla tych, którzy wcześniej swoje nadesłali.

Kokoszka tak ładnie i wyraźnie pisze, że miło od niej odbierać liściki, chętnie też za stałą korespondentkę uważać ją będziemy. Kurki są miłe i na wsi i w mieście, chociaż w mieście wolą je ludzie zwykle na rożnie.

Krasnolicy dziękujemy serdecznie, że zaraz po chorobie o nas pomyślała, prosimy, aby jaknajdłużej osłabione oczki szanowała. Jesień tem smutniejsza w tym roku, żeśmy prawie lata nie mieli. „Branka litewska”, według życzenia Krasnolicy, nie prędko się skończy.

Śnieżycy jest bardzo dobra i kochana, troskliwość jej wielką nam radość sprawiła. Na nieszczęście są choroby, na które już rady żadnej niema, oprócz cierpliwości. Lecz Bóg dobry każdemu zsyła pociechę, a współczucie takich serduszek pocziwych przyczynia jej niemało.

Niezajomy dowcipną nadesłał szaradę, byle chciał troszkę poczekać, utrzy ją niezawodnie w druku. Pseudonym dobry.

Lobelia porządnie pisze, może więc śmiało korespondować z redakcyą, i z innemi panienkami.

Jaskółka z nad Sekwany zawsze nam wielką przyjemność sprawia swojemi liścikami. Rozbójnikowi, pomimo wszystkiego, ukłony serdeczne przesyłamy. Gołąbka odpisze osobno, bo już przyfrunęła ze wsi oddawna.

Podlasianka ślicznie robi, że nie zważając na wiek sędziwy robotkę przysłała. Prace starszych robotnic osobno będą ocenione i zaszczytną wzmianką odznaczone.

Gajówka z nad Obry otrzymała już zapewne żądane N-ra. Pisma, gdyż dołączyła adres porządný. Zawsze z przyjemnością spełniamy żądania kochanych czytelniczek, cóż kiedy dużo jest tak roztrzępanych, że prosząc o coś zapominają o adresie, o nazwisku, a my odszukać tego nie możemy. Śliczny upominek z kwiateczków suszonych, tak starannie wykonany, niewymowną przyjemność nam sprawił, złożony będzie w skarbcu, umyślnie na przechowywanie takich pamiątek przeznaczonym.

Przepióreczka z nad Teterową daleko lepszy teraz pseudonym wybrała, ciocia miała słuszość.

Lilijka z nad Horynki bardzo dobrze ułożyła prozę i poezję. Szkoda, że tak mało kto chce sobie ten trud zadawać.

Mała Amazonka chciałaby mieć Pisemko francuskie, i dobre, i niedrogie, co jest rzeczą trudną, bo lepsze wszystkie kosztują

od 10 rs. do 15 z powodu nizkiego kursu monety. Może będzie dobre. L'ami de la Jeunesse et des Familles 4 rs. 45 kop.

Białej Ostróżce nie potrafimy wyjaśnić inaczej Niteczki Aryadny, tylko radząc, aby przypatrzyła się podobnym zadaniom, w Pismie naszym zamieszczonym. Zgłoski idą po sobie od kratki do kratki, aż póki bez przerwy nie przejdą wszystkich.

Pegaz Skrzydlaty znowu się na nas gniewać będzie, ale jakże tu Homonimy wydrukować, kiedy w pierwszym zaraz rymie taka omyłka okropna. Nie można dla rymu wyrazów przekręcać i pisać „Parkanamy” zamiast „Parkanami”. Żal nam bardzo biednego Pegaza, że nie mógł wyfrunąć na swym mitologicznym rumaku gdzieś na wieś i całe lato prawie na boku spędzał.

Wiosna przysłała szaradę bardzo dowcipną, wydrukujemy ją zarówno jak i zadanie konikowe, tylko cierpliwości!... wszystkim to powtarzamy.

Szarża może być spokojna, nigdy jeszcze nie było przykładu, aby liściki naprzykrzyły się w redakcyi naszej. Jedna z korespondentek zapytywała o znaczenie wojowniczego pseudonimu „Szarży”, nie wiemy, co odpowiedzieć? Osóbka, sądząc z liścików, nie musi mieć wojownicznych zapędów.

Krakowianka z nad Nidy dobrze odgadła rebus. A jaki przepyszny papier do listów ma Krakowianka, gdzie to się kupuje, czy w samym Pekinie?

Dziewczynkę z nad Wisły z powodu mylnie podanego adresu prosimy o odebranie swęj nagrody w naszej Redakcyi za wypracowanie konkursowe, przed wakacyjne.

Kochana Mucholówko! Napisz do mnie chociaż słówko. Posyłam ci zadanie, co ma łatwe rozwiązanie, a będzie mi radość, nie, gdy odpiszesz Wiośnie.

Drogi moje Sarenko z nad Morocz i Jesieni! Dziękuję wam jeszcze raz i z całego serca za miłe liściki, i donoszę, że się doskonale bawię podczas wakacyj. Zwiedziliśmy wersalski pałac, park i muzeum, gdzie jest kilka portretów Maryi Leszczyńskiej. (Naturalnie napisano Leczińsko). Ale nie myśl, droga Sarenko, żeby Paryż był znów tak świetny, jak się wyrażasz; ty szczególnie w twoim litewskim dworku, wierz mi, Paryż nie taki przyjemny, jak ci się zdaje. Ściskam was obie, drogie siostrzyczki moje, wasza kochająca, Jaskółka z nad Sekwany.

Moja droga Jesieni! Widocznie zaszło między nami nieporozumienie, dziękujesz mi za liścik, do którego nie przyznaję się wcale. Jeżeli zgadzasz się, to pisujmy do siebie w dalszym ciągu, bo ja radabym korespondować ze wszystkimi korespondentkami Wieczorów, które z całego serca kocham. Odpisz jak możesz najprędzej kochającej cię Szarży.

Do wszystkich. Już dawno chciałem należeć do waszego grona, lecz musiałem się przygotowywać do egzaminów; a teraz kiedy już one przeszły, korzystając z wolnego czasu, będę pisywał do was, jeżeli tylko zechcecie. Niezajomy.

Droga moja Koniczynko z nad Sejmu. Prosisz o przebaczenie żeś do mnie napisała, a ja chętnie uściślałabym cię za to. Choć nie jesteś moją rówieśniczką, bo ja mam już 15 lat skończonych jednak z radością będę z tobą korespondowała, boś mi się bardzo podobała, szczególnie gdy przeczytała odpowiedź redakcyi do ciebie. Ściskam cię serdecznie i czekam odpowiedzi, twoja Cyganeczka z nad Wisły.

Kochana „Wisienko z nad Sobu”! W odpowiedzi Kochanej Pani przeczytałam pochwały dla ciebie i zapragnęłam cię poznać. Czy lubisz zoologię? Ja się jej uczę z tój książki co i ty. Gdzie mieszkasz? Wiele masz lat, bo ja mam 10. Zaciekawiona Kokoszka.

Droga Iskierko z cichego kącika! Ucieszyliśmy się bardzo twoim liścikiem nawzajem donosimy ci, że nam się bardzo podobał twój pseudonym. Imiona nasze Marya i Ludwika, mieszkamy na wsi a uczymy się w domu. Napisz do nas, kochana Iskierko, a odpiszemy ci z pewnością. A tymczasem przyjm serdeczne uściśnienia od kochającej cię Śnieżycy i Krasnolicy.